



ALEKSANDR NUŻNYJ

## Oleksa Dobosz i Podole

(niefachowe rozważania)

---

Temat karpackich opryszków jest wielowątkowy i wielowarstwowy, a ta za przyczyną szeregu zjawisk. Oczywiście gdzieś tam na samym początku byli autentyczni ludzie, którzy szybko jednak ze zwykłych śmiertelników stali się herosami z ludowych opowieści. Zafascynowani tymi ostatnimi romantyczni i postromantyczni poeci i pisarze stworzyli szereg dzieł literackich, które po pewnym czasie zawędrowały pod strzechy, nakładając się kolejną warstwą na stare mity i tworząc nowe. I stało się tak, że nikt już nie wiedział co jest prawdą, co ludową bajdą, a co literaturą. Tak się później złożyło, że mit opryszka, odpowiednio zinterpretowany, pięknie się wpisywał w ideę „walki klas”. Został więc skwapliwie zaprzęgnięty w służbę jedynie słusznej, naukowej ideologii, które chciała uszczęśliwić ludzkość. W efekcie, za sprawą propagandy, powstało jeszcze jedno piętro mitów, szczególnie rozbudowanych i intensywnie propagowanych na Radzieckiej Ukrainie, gdzie nałożyły się one na wcześniej już istniejące mity narodowe.

Walka z mitami jest skazana na porażkę, zresztą bywają one pozytywne. Wydaje się jednak, że nastał czas, w którym można by pokusić się o oddzielenie mitów od prawdy. Mity mogą trwać nadal, ale trzeba też poznać prawdę, niezależnie od tego jak daleko ona odbiega od mitów.

Tak stało się z Janosikiem, który dzięki żmudnym pracom historyków stał się konkretną postacią historyczną, niewiele — jak się okazało — mającą z mitem wspólnego. A przecież przez wielu górali (i nie tylko) jest on i będzie nadal uważany za polskiego bohatera narodowego, choć prawdopodobnie nigdy w Polsce nie był. Taka jest siła mitu, szczególnie wspartego popularnym serialem telewizyjnym.

Z Doboszem jest podobnie. Nie wiemy, czy mieszkańcy Borszczowa na Podolu wybiorą mit, czy prawdę historyczną przedstawioną w zamieszczonym niżej artykule Aleksandra Nużnego. Może tak się zżyli z historią o Dowboszu zdobywającym ich miasto, że ciężko będzie się im z nią rozstać. Mają do tego prawo. My zaś mamy prawo głosić, że to tylko legenda.

Także działalność Dobosza w okolicach Turki i Drohobycza wymaga rzetelnej historycznej analizy. Czy rzeczywiście tam przebywał, czy też chodzi o jego brata, który według niejasnych przekazów działał w Bieszczadach, a który być może sam był legendą. Ponoć zostawił swój nóż w cerkwi w Boryni. Warto by ten wątek też wyjaśnić.

A.W.

---

W literaturze, zarówno polskiej, jak i ukraińskiej, często można spotkać stwierdzenie, że działalność opryszków Oleksy Dobosza nie ograniczała się do Pokucia i Huculszczyzny, lecz sięgała nawet Podola i Ziemi Przemyskiej. Przypadkowo zainteresowałem się tym problemem i doszedłem do bardzo interesujących wniosków.

Wiadomo, że opryskstwo, podobnie jak podtatrzańskie zbójnictwo, było przejawem niepokojów społecznych na terenie Karpat Wschodnich, a ściślej biorąc, Huculszczyzny i Pokucia. Najślawniejszym opryskiem był Oleksa Dobosz (Dowbusz), działający w latach 1738–1745. Po dzień dzisiejszy dla mieszkańców ziem karpaccich pozostaje on wielkim bohaterem. Jego sława zaćmiła w zbiorowej pamięci działania innych watażków, którzy przewodzili opryskom przed i po nim. Liczne pieśni i legendy ludowe wytworzyły mit ludowego herosa o nadprzyrodzonych zdolnościach. Nie ominęło go też zainteresowanie poetów i pisarzy. F. Karpiński, F. A. Ossendowski, S. Vincenz, I. Franko, H. Hotkewycz, J. Fedkowycz — to tylko część listy tych, których zafascynowała postać Oleksy Dobosza i którzy uwiecznili ją na stronicach swoich utworów.

W końcu nadszedł czas badań naukowych. Znalazły się dokumenty, na podstawie których historycy ułożyli rys biograficzny sławnego syna Huculszczyzny. Oparł się on na faktach historycznych utrwalonych w aktach sądowych i księgach grodzkich, listach i pamiętnikach z epoki.

Nie jestem historykiem, trudnię się przewodnictwem górskim. Przez to historyjki o Doboszu, które opowiadam turystom, mało się różnią od legend ludowych, zresztą z nich zostały zaczerpnięte. Nigdy nie wczytywałem się w literaturę naukową, bo i po co. I tak każdy rozumie, że przewracanie skał gołymi rękami i zabicie diabła — to bajeczne wymysły, a napady na kupców i zamordowanie bogacza — fakty przynajmniej potencjalnie rzeczywiste.

Tak byłoby i dalej, gdybym we lwowskim Muzeum Historycznym nie zwrócił uwagi na mapę „Wyprawy oddziału Oleksy Dobosza”. Mapa to było coś z mojej przewodnickiej branży, więc nic dziwnego, że bardzo mnie zainteresowała. Przypatrzyłem się jej uważniej. Gęsta pajęczyna strzałeczek oznaczających przemarsze opryszków całkiem logicznie skupiała się na terenie Pokucia i Huculszczyzny. Trzykrotnie jednak strzałeczki wybiegały poza teren ograniczonego Prutem i Czeremoszem, sięgając stron stosunkowo dalekich: w maju 1744 r. — Borszczowa na Podolu, we wrześniu 1744 r. — Turki i Drohobycza, w maju 1745 r. — okolic również podolskiego Rohatyna.

Wydało mi się to bardzo dziwne. Zwłaszcza że był to okres, kiedy wataha opryszków miotła się po Huculszczyźnie, poszukiwana we wsiach i dolinach przez wojska koronne, a na połoninach i w lasach ścigana przez oddziały wy-



Lwowski praca *Oleksa Dowbusz*. Jej autor, doktor nauk historycznych Wołodymyr Grabowećkyj, jest chyba najbardziej kompetentnym badaczem dziejów sławnego opryszka. Sam urodzony w Peczeniżynie, czyli tam, gdzie przyszedł na świat Dobosz, Grabowećkyj ponad czterdzieści lat poświęcił badaniom nad życiem swojego krajana i nawet założył w Stanisławowie muzeum biograficzne Dobosza. W swej monografii, oprócz wyników własnych dociekań zamieścił bogaty zbiór dokumentów, podając je po polsku i w tłumaczeniu na ukraiński. Spośród nich właściwie jedynym, który miałby potwierdzać tezę o wyprawie Dobosza na Podole, jest zawiadomienie znalezione wśród akt bernardynów lwowskich. Dokument ów jest wart przytoczenia w całości:

Dnie 4 maja [1744] we wsi Borszczowie od Buczacza mil dwie Doboszczuk rozbojnik naszedł w nocy dwór imci pana Konstantego Złotnickiego pułkownika, palił mu rece, zarzewie ogniste w zanadrze sypał, a potem okrutnie zabił y zone jego y dzieci, iego synoczka przy piersiach. Okupu pieniędzy srebra etc. nie chciał mówiąc: „Nie po pieniądze tu przyszedłem, ale po twoia duszę, abyś więcej ludzi nie męczył?”. NB. Był to pan zły na ludzi i kilka zamordował.

Nigdy nie zastanawiałem się, gdzie właściwie miało miejsce morderstwo pułkownika Złotnickiego, choć dawno wiedziałem o tym zdarzeniu i nieraz

najętych Hucułów, zwanych smolakami. W takiej sytuacji ucieczka przez dzikie Gorgany w lasy skolskie i turczańskie wyglądała całkiem logicznie, natomiast wypad na Podole byłby co najmniej nierozważny. Czy mógł opryszek, dziecko gór, zaryzykować wyprawę w nieznane stopy i jary Podola? Czy mógł opuścić rodzinne strony, w których każdy świerk był dachem, każda koliba kryjówką, a każdy pasterz druhem?

Żeby znaleźć odpowiedź na to pytanie, musiałem sięgnąć po literaturę bardziej poważną, niż legendy romantycznych Hucułów lub utwory nie mniej romantycznych rycerzy pióra — pisarzy i poetów.

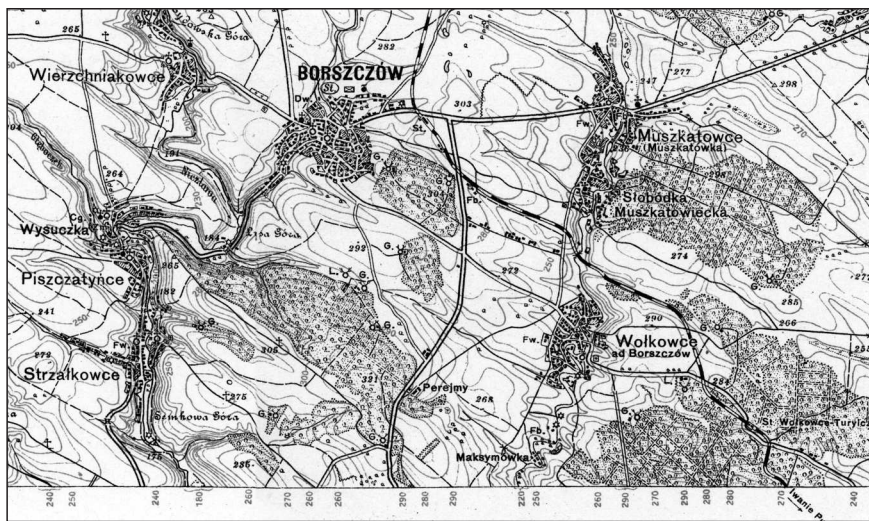
Najbardziej szczegółowa książka, którą posiadam we własnej bibliotece, to wydana przez Uniwersytet

opowiadałem o nim turystom. Tym razem uświadomiłem sobie, że stało się to w Borszczowie. Zaintrygowały mnie jednak owe „od Buczacza mil dwie”. Wiadomo, że przedrozbiorowa mila polska mierzyła około 7 km (dokładnie — 7146 m). Ale między Buczaczem a Borszczowem jest 56 km w linii prostej, a drogą przez Tołste i Jazłowiec jeszcze więcej — 64 km, czyli prawie 9 mil.

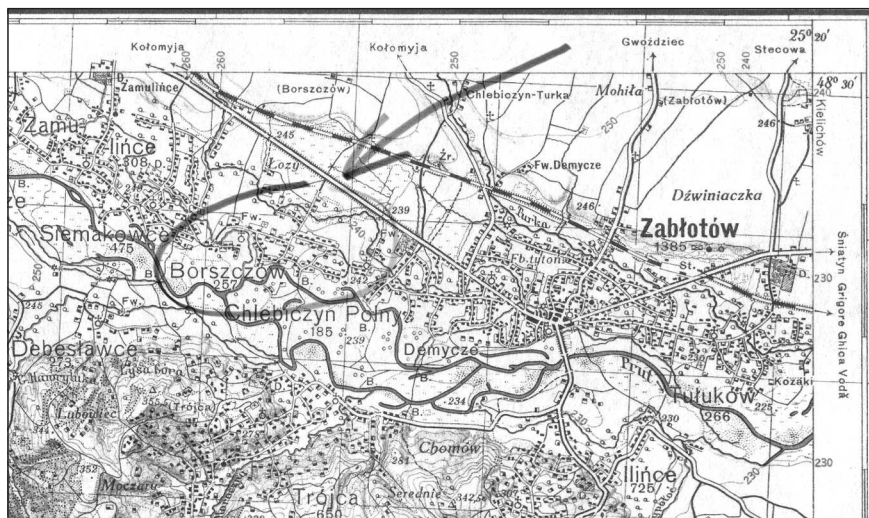
W powieści ukraińskiego pisarza Hnata Hotkewycza pewna Podolanka, chcąc się zemścić na Złotnickim za śmierć syna, odszukała w Karpatach Dobosza i poprowadziła jego watahę na Podole. Późnym wieczorem ukryła opryszków w jarze, a sama poszła do Borszczowa, gdzie uprzedziła mieszkańców, aby zabrali psy do domów, bo szczekanie mogło zdradzić opryszków. Potem upewniła się, że Złotnicki jest w domu, i wróciła po Dobosza. Nad ranem mściciele napadli na dwór pułkownika... Hotkewycz nie przejmował się tym, że kobieta musiałaby w ciągu nocy przemierzyć w sumie prawie 27 mil, czyli blisko 200 km. A może wręcz przeciwnie — pisarz chciał pokazać, że żadna zemsta kobieta wiele potrafi. Cóż, romantyczna powieść ma swoje prawa. Henryk Sienkiewicz też nie przejmował się tym, że historyczny Jerzy Wołodyjowski miał 54 lata i był czwartym z kolei mężem „pięknej Heleny”. Zostawmy więc literaturę piękną i wróćmy do badań naukowych.

Ponieważ Borszczów od 1629 r. był miastem rządzącym się prawem magdeburskim, a w bernardyńskim dokumencie chodzi o wieś, zacząłem szukać na mapie wsi o takiej nazwie w promieniu dwóch mil od Buczacza. Prózne wysiłki! Najbliższy Borszczów znalazłem aż nad Prutem, koło Zabłotowa, w dawnym powiecie kołomyjskim, od Buczacza 68 km, czyli 9,5 mil w linii prostej. Intrygujące było jednak to, że w okolicy tegoż Zabłotowa leżą wioski, w których płk Złotnicki pięć lat przed tragicznym dla siebie napadem Dobosza, wykonując rozkaz pacyfikacji Pokucia, znęcał się nad chłopami: Siemiakowce, Lipnice i Wołczkowce. Wzmianki o nich możemy znaleźć w przytaczanym w książce Graboweckiego rozkazie rozgniewanego hetmana wielkiego koronnego Józefa Potockiego. Hetman zarzucał pułkownikowi, że w działaniach swoich „przeciwko prawu i artykułom wojskowym postąpił” i wzywał go wraz z jego kompanami: „abyście wasz moście panowie przed nami lub sądem naszym wojskowym osobiście stawili się. (...) Że wasz moście panowie (...) wszedłszy w Pokucie abyście swawolne grupy kozaków gromili, a wasz moście panowie opresję dóbr Rzeczypospolitej pozwalając sobie, we wsi Siemiakowcach stanąwszy (...) gwałt poddaństwu czynić pozwoliliście”.

Dalej rozkaz wymienia poszczególne przestępstwa pułkownika: „Duchownego greckiej religii we wsi Wołczkowcach z cerkwi od ołtarza wziąć, w dyby zabić i związać kazaliście”, „Wasz mość pan Złotnicki ze wsi Lipnice (...) poddaństwa do wsi swojej Borszczowa na roczne robocizny przez niemały czas



Miasto Borszczów na Podolu (fragment mapy 1:100 000 WIG, arkusz Borszczów)



Wieś Borszczów nad Prutem na Pokucie (fragment mapy 1:100 000 WIG, arkusz Kutu)

gnałeś...”. Znowu więc Borszczów, ale co ciekawe, znowu miasto występuje jako wieś! Czyż mógł mąż stanu, hetman wielki koronny pomylić wieś z miastem? Raczej nie mógł — pozew był bowiem dokumentem państwowego znaczenia.

Gdzieś w tym wszystkim musiał tkwić błąd. Zacząłem szukać innych źródeł — i znalazłem! Karel Wladislaw Zap, czeski pisarz, który przez pewien czas pracował we Lwowie jako urzędnik, pozostawił wspomnienia, zatytułowane *Wędrowki i przechadzki po galicyjskiej ziemi* (1844). Znajduje się w nich bardzo interesujący fragment dotyczący okolic Zabłotowa koło Kołomyi:

A to już Borszczów. Co? Ten sam Borszczów, który przed stu laty był spalony przez Doboszczuka i jego mołojców? Owszem, ten sam. Nieopodal na brzegu stoi dwór na miejscu dawniejszego, który to Doboszczuk, przeprawiwszy się nocą przez Prut, zniszczył, a wszystko, co w nim żyło, pozabijał. (...) A zatem teraz jest Borszczów, a już wita nas cerkiew w Siemiakowcach.

A więc jest odpowiedź! Teraz wszystko wraca na swoje miejsca: Borszczów to wieś, a nie miasto, Dobosz przeprawiał się przez Prut, a nie Dniestr, mord Złotnickiego miał miejsce na Pokuciu, a nie na Podolu, a pułkownik gnał chłopów lipnickich na odrobek do swojej wsi po sąsiedzku, a nie przez połowę ziem podolskich.

Notatka Zapa, spisana sto lat po śmierci Dobosza, wydaje się bardziej wiarygodna aniżeli dokument bernardyński, który opublikowano w 1887 r. Wzmianka o Buczaczu w tym drugim jest najprawdopodobniej pomyłką. Zapewne miało być: „we wsi Borszczów od Kołomyi mil dwie” — zgodnie z rzeczywistością.

Czy pomyłka w starym dokumencie usprawiedliwia W. Graboweckiego, muzeum historyczne i wydawnictwo Uniwersytetu Lwowskiego? Oczywiście nie. Mamy tu do czynienia z umyślną mistyfikacją. Sam Graboweckij w swojej książce stwierdza, że nikomu z polskich i ukraińskich badaczy ruchu opryszkowskiego nie udało się znaleźć żadnego dokumentu świadczącego, że działania „czarnych chłopców”, sięgnęły poza granice Huculszczyzny i Pokucia. Jedyne wyjątek to zawiadomienie o napadzie Dobosza na dwór Złotnickiego. Ale ten dokument, jak wykazałem wyżej, zawiera sprzeczne dane, które można interpretować dwojako (miasto czy wieś, odległość od Buczacza czy Kołomyi). Graboweckij wybiera miasto Borszczów i na tej podstawie wprowadza do historii wątek podolskiej wyprawy Dobosza.

Nie wytrzymuje krytyki także informacja o drugiej wyprawie Dobosza na Podole, w maju 1745 r. Na jej potwierdzenie Graboweckij przytacza dwa dokumenty. Pierwszy z 13 maja 1745 r.: „*divulgata fama* [rozeszła się fama] o Doboszczuku czyli jakisich swawolnych kupach najdujących się po lasach” w po-

blizu Rohatyna, co spowodowało masową ucieczkę i chronienie się szlachty za murami miasta, drugi z 2 maja 1745 r.: „[o Doboszu] dano znać do Nadwornej, że w Zielonej już go widziano...”.

Jaki z tego można wyciągnąć wniosek? Grabowecki pisze: „Prawdopodobnie tutaj [do Żelenej] przychodził Dobosz, wracając z Rohatyńszczyzny”. Jak widać, w książce autor ostrożnie przypuszcza, ale nie waha się namalować strzałeczek na wspomnianej wymienionej mapie. W ten sposób druga wyprawa Dobosza na Podole staje się „potwierdzonym faktem historycznym”. I to wszystko. Żadnych innych, bardziej przekonujących dokumentów! Czy jednak można uznać pogłoskę o „Doboszczuku czyli jakisich swawolnych bandach” za naukowy dowód, a wizytę opryszków w Żelenej za potwierdzenie ich powrotu spod Rohatyna?

Po „detronizacji” obu podolskich wypraw Dobosza trudno mi było uwierzyć w jego trzeci daleki wypad — do Turki i Drohobycza. Tym bardziej, że wszystkie zachowane przekazy z tych stron to tylko doniesienia przerażonej „strachami od Doboszczuka” szlachty, proszącej o przysłanie wojska. Grabowecki także tutaj przytacza źródłowe dokumenty. W jednym z nich jest mowa o tym, że przed bramą pana Kalinowskiego w Turce znaleziono kartkę, w której Dobosz, żądając pieniędzy, groził: „Bude tobi tak jak panu Żłotnickiemu”. Drugi mówi o bogatym Żydzie Zelmanie z Drohobycza, który „obawiał się aby nie był złapany” przez Dobosza i sprowadził dragonów i pachółków, „aby go pilnowali”.

W pierwszym przypadku mamy na pozór do czynienia z samym Doboszem, ale przecież mógł się pod niego podszyć każdy piśmienny szantażysta. Drugi dokument wskazuje raczej na chytry sposób ubezpieczenia swojego życia i majątku kosztem państwa. Tym bardziej, że Zelman miał czego się bać — nienawidziła go ponoć cała Galicja. Podobno już po śmierci został przez drohobyczan przybity osikowym kołkiem do dna stawu.

Działalność naukowa profesora Graboweckiego przypadła na czasy radzieckie. Teoria „opryszkowsko-podolsko-przemyska” bardzo pasowała teoretykom rewolucji, którzy chętnie podnosili lokalny ruch opryszkowski do rangi powstania ludowego o szerokim zasięgu. Ale odpowiadała ona także pragnieniom patriotycznie nastawionych Ukraińców, by umieścić Dobosza między „sławnymi imionami, wpisanymi złotymi literami w księgę dziejów narodu: Nalewajką, Krzywonošem, Neczajem Bohunem, Zalizniakiem i Gontą”. Rzetelne badania historyczne bywały ryzykowne, zwłaszcza w Galicji, gdzie władze sowieckie bawiły się z Ukraińcami w grę: „Zgadnij, co to jest — antyrosyjski nacjonalizm czy antypolskie powstanie”. Graboweckiemu udało się nie przegrać, u niego bowiem opryszkowie walczyli „przeciwko polskim obszarnikom”.

Zresztą Dobosz faktycznie był chyba bliski tego, co komuniści nazwali powstaniem, gdy mówił pułkownikowi Złotnickiemu: „Nie po pieniądze tu przyszedłem”. W XVIII w. w tych stronach rabowanie kupców i podróżnych, napady na majątki co bogatszych gospodarzy oraz zbrojne konflikty zwaśnionej szlachty zdarzały się tak często, że każdy dwór wyglądał jak mini-forteca, a podróżowanie bez broni było niemal samobójstwem. Zawsze jednak chodziło o pieniądze lub władzę. Bezinteresowny mord — „abyś więcej ludzi nie męczył” — musiał wydać się okolicznej szlachcie buntem społecznym, ale też był takim w istocie.

Mimo to — niestety! — zemsta Dobosza trochę nie dorastała do skali działań Nalewajki i Krzywonośa, najwyżej do poziomu buntów Pynti, Piskliwego i Muchy. Trzeba było jakoś podnieść autorytet huculskiego Robina Hoda. To nietrudne: trzeba tylko zamienić jeden Borszczów na drugi, a Prut na Dniestr i już geografia ruchu opryszkowskiego rozszerza się na Podole. Potem wystarczy nazwać wszystkie Skały Dobosza w Karpatach jego kryjówkami, żeby rozciągnąć działania Dobosza po ziemię przemyską. Powstaniec jak się patrzy! Do sławy Chmielnickiego jeszcze daleko, ale i tak nieźle.

Wszystko to z czasem stało się „potwierdzonym faktem historycznym”, często powtarzanym we współczesnej literaturze, także naukowej. To przykre, że dociekliwość pierwszego z brzegu krajoznawcy prowadzi do podważenia autorytetu zawodowych historyków.

Na koniec rozejrzałem się po tak modnym teraz internecie, podejmując ostatnią próbę dojścia prawdy. Nic to nie dało. Wszystkie zawarte tam informacje o zabójstwie Konstantego Złotnickiego powołują się na publikacje XX-wieczne. Nie ma żadnych źródeł wcześniejszych niż publikacja bernardyńskiego dokumentu. Dochodzi do sytuacji śmiesznych: obszernie wiadomości pod hasłem „Borszczów” zawierają skrót wspomnianej powieści H. Hotkewycza, podając to za autentyczny fragment dziejów miasta!

Oczywiście wolno sądzić, że wiele dokumentów przepadło lub jeszcze nie zostało odnalezionych. Dziwne jednak, że pierwsi podolscy krajoznawcy nie wiedzieli o okropnym zabójstwie. Tak na przykład ksiądz Panak, którego szkic krajoznawczy (pierwodruk: „Lwowianin” 1841, nr 3, ss. 64–68) umieszczono w czwartym tomie *Kroniki miasta Borszczowa*, ani słowem nie wspomina o nieszczęśliwym pułkowniku i jego śmierci. Nie ma wzmianki o Złotnickim także pod hasłem „Borszczów” w *Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego*. Wygląda więc na to, że jest to mistyfikacja, którą borszczowianie przyjęli i włączyli w historię swego miasta.

Na koniec, może Graboweckij pomylił pokucką wieś z podolskim miastem nieumyślnie, tylko dlatego, że nie miał zwyczaju korzystać z map? Jak inaczej



wytłumaczyć to, że badacz historii Huculszczyzny napisał taką niedorzeczność: „Z Jasynia można dotrzeć na Drahoberat, a stąd wyciągiem na Stoh. Jest to stromy i niedostępny szczyt na Czarnohorze, wśród wysokich skał na dawnym węgiersko-mołdawsko-polskim pograniczu”?

Osobom nie znającym ukraińskich Karpat należy się wyjaśnienie, że Stoh nad Drahoberatem i Stoh w pobliżu Czarnohory to dwa różne szczyty, położone w innych regionach geograficznych. Pierwszy leży w pasmie Świdowca, drugi w Karpatach Marmaroskich. Oba są dostępne, łagodne i nie ma na nich żadnych skał! Na tym drugim Stohu w latach międzywojennych faktycznie stykały się granice trzech państw — Polski, Czechosłowacji i Rumunii. W czasach Dobosza przebiegała tamtędy tylko granica polsko-węgierska.

I jeszcze jeden lapsus w książce Graboweckiego. Pisze on: „Na Kedrowatej pod Munczelem znajduje się kamienne Krzesło Dobosza” i objaśnia: „Kedrowata to większa część Czarnohory, ciągnąca się 7 km ze wschodu na zachód”. W rzeczywistości Krzesło Dobosza jest małą skałką sterczącą w bocznym grzbieciku Czarnohory, zwanym Kiedrowaty-Pohoriłka, który odchodzi na wschód od grani głównej nie pod Munczelem, lecz pod Brebenieskulem. Mając zaledwie 5 km długości, nie może być „większą częścią Czarnohory”, która przy długości około 60 km zajmuje obszar około 900 km<sup>2</sup>.

Przypuszczam, że fragmenty książki dotyczące gór podsunął Graboweckiemu ktoś inny. Gdyby Huculi przeczytali je, mieliby zabawę. Na szczęście ludzie prości nie czytają prac naukowych, dzięki czemu nigdy nie widzieli w Doboszu powstańca. Dla nich zawsze był obrońcą praw uciśnionych i mścicielem doznanych krzywd. A że był bliski ludu i zrozumiały, sława jego, uwieczniona w nazewnictwie karpackim, podkarpackim, a nawet i podolskim, przerosła sławę wielu innych opryszków, tworząc z niego mityczną postać ludowych bajek, pieśni, ballad i legend. A tego już nikt nie podważy — na wieki wieków. Amen!